

Drodzy Koledzy,

Od 1990 roku większa część mojej pracy naukowej i działalności organizacyjnej związana była i jest nadal z programami europejskimi. Jak wiecie, kierowałem pracami dotyczącymi EUREF-u, dołożyłem wielu wysiłków w celu zawarcia przez Polskę porozumień z ESA, pierwszego w r. 1994, drugiego w roku ubiegłym, zajmuję się europejskim projektem GOCE i staram się włączyć w Galileo. W miarę zagłębiania się w praktykę współpracy unijnej moje spojrzenie na integrację zmieniało się. Obecnie, w przededniu referendum czuję się w obowiązku podzielić się z Wami moimi przemyśleniami na temat procesu przyłączania Polski do Unii Europejskiej. Będąc przekonanym o konieczności współpracy europejskiej, zastanawiam się nad sposobami jej prowadzenia i perspektywami. Zastanawiam się nad argumentami wysuwanymi przez zwolenników i przeciwników wstąpienia do Unii, próbując wyłowić je z zagłuszającego hałasu agitacji.

Spróbujmy nieco uporządkować te argumenty i ocenić ich znaczenie, jak też słabości.

Pozostawmy na boku argumenty natury finansowej, n.p. dopłat dla rolników, likwidacji cel, funduszy strukturalnych itd., z tego powodu, że do ich oceny potrzebna jest wiedza, której obywatel - nawet wykształcony - nie posiada. Ponadto, oceny i prognozy ekonomiczne bywają tak sprzeczne, jak na przykład opinie ministrów - profesorów Kołodki i Balcerowicza. Ktoś, kto próbował uzyskać grant w 5-tym lub 6-tym programie, wie jak wyglądają starania o fundusze unijne.

Zajmijmy się argumentacją polityczno - historyczną, która przeważa w wypowiedziach t.zw. autorytetów. Zaczniemy od argumentacji pro-unijnej.

Jak pamiętamy, ojcowie założyciele Unii Europejskiej (kiedyś Wspólnego Rynku), kierowali się myślą, że kontynent europejski był przez wieki źródłem wojen i temu wreszcie należy położyć kres. Likwidacja granic, likwidacja nacjonalizmów i rywalizacji między państwami powinna usunąć przyczyny konfliktów prowadzące do wojen.

Jest to myśl godna uznania, jednakże można zapytać kto te konflikty wywoływał. Czy w ciągu ostatnich 300 lat na kogoś napadły Węgry? Czechy? Portugalia? Czy na kogoś napadła Polska? Okazuje się, że jest grupa państw, a mianowicie Francja, Niemcy, Rosja i Turcja, które wywoływały wojny. Inne narody były wciągane w wojenne rozprawy wbrew swej woli. Anglicy, którzy również nie byli aniołami pokoju swoją ekspansję kierowali na zewnątrz Europy. Na pewno nie była krajem wojowniczym Polska, która nie potrafiła nawet zadbać o swoją obronę. Czy wobec tego operacja mająca na celu zaprowadzenie pokoju nie powinna objąć przede wszystkim tych, którzy stanowili zagrożenie, a nie rozciągać się na także na tych, którzy byli Bogu ducha winni?

Lecz był i drugi powód. Porównując się ze Stanami Zjednoczonymi, politycy szukali przyczyny, dla której tamten kraj wyprzedza coraz bardziej starą Europę w rozwoju i bogactwie. Uznali, że to sama skala tego państwa, liczba ludności, wielkość rynku, stanowią wystarczającą przesłankę do stania się potęgą. Wniosek taki potwierdzała ówczesna pozycja Związku Radzieckiego, który porównywalny wymiarami do Stanów Zjednoczonych, był jego jedynym rywalem. A zatem, Europa zjednoczywszy się, stanie się również mocarstwem !

Tego argumentu nie da się w pełni zweryfikować, to jest potwierdzić lub zaprzeczyć. Co prawda, Związek Radziecki upadł pomimo wielkości państwa, ale grały tam rolę różne inne

przyczyny. W przypadku Chin i Indii rozmiary tych państw nie wpływają pozytywnie na ich rozwój. Z drugiej strony uczestnictwo we Wspólnym Rynku na pewno przyczyniało się do rozwoju państw członkowskich, choć inne państwa do niego nie należące, np. Skandynawia, rozwijały się nie gorzej.

Polscy politycy wspominają rzadko o tych dwóch kamieniach węgielnych decyzji o jednoczeniu Europy. Przypominanie o agresywnym kiedyś charakterze państwa niemieckiego nie jest na czasie, tym bardziej, że stało się ono super pacyfistycznym. Rywalizacja ze Stanami Zjednoczonymi jest z polskiego punktu widzenia jakąś fantazją.

Słyszymy natomiast inne wypowiedzi. Popularną, powtarzaną opinią jest, że przystąpienie do Unii pozwoli naprawić słabości państwa polskiego, których jest multum, a które unaocznili się w całej krasie w tzw. aferze Rywina. Wypowiadają się tak liderzy opozycji jak Olechowski, Tusk, Piesiewicz, liczni dziennikarze, wśród nich znany z ciętego pióra Stanisław Tym i wielu osób prywatnych, sfrustrowanych obecną sytuacją. Na czym jednak opierają te nadzieje?

Otóż głównie na tym, że sądzą, że tam, w Europie, jest inaczej. Tam jest dobrze i kiedy nas tam przyjmą będzie dobrze i u nas !

Czy jest to święta naiwność ? Nie trzeba nawet tam mieszkać, wystarczy czytać gazety (ale nie polskie tylko tamtejsze), aby wiedzieć, że Chirac, a przed nim Mitterand i wielu ministrów francuskich uwikłani byli i są w milionowe afery korupcyjne. Kandydat francuski na szefa centralnego Banku Europejskiego odpowiada przed sądem za oszustwa. Były premier Włoch Andreotti jest sądzony za współpracę z mafią, Berlusconi za korupcję, na Prodim ciążyą zarzuty o trwonienie majątku państwowego. Kohl pozbawiony wszelkich funkcji za przyjmowanie łapówek, premier Schlezvik - Holstein popełnia samobójstwo po udowodnieniu korupcji. W dziedzinie bezpieczeństwa publicznego nie lepiej - narkomania, pedofilia, prostytutka, rozboje, przekręty gospodarcze wszystko na skalę jeszcze u nas nie osiągniętą. Być może, miasta opanowane przez przestępczość takie jak Hamburg, Marsylia czy Palermo nie są reprezentatywne dla Unii, ale widzieć tam wzór i do niego dążyć - to jakieś nieporozumienie, albo świadome wprowadzanie w błąd. Tymczasem Rywiny, po wjechaniu na naszych grzbietach do Unii, tylko się umocnią i jeszcze wzbogacą.

Jednakże – brzmi następne twierdzenie – tam jest lepsze prawo. Lepsze regulacje, procedury, ich wprowadzenie i tak jest konieczne. W takim razie, czemu nie wprowadzać tych lepszych praw, bez wiązania sobie rąk potrzebą wprowadzania wszystkiego? Przez wieki czerpaliśmy różne wzory z Zachodu, gdy okazywały się one dobre. Już w XIII wieku lokowano w Polsce miasta na prawie magdeburskim. W stanowieniu prawa korzystano z kodeksu Napoleona, system szkolnictwa oparty był na wzorach niemieckich. Ale z zachodu nadchodziły również i jakobinizm i marksizm i one nie były w Polsce zaakceptowane. Zaś dla wprowadzenia w Polsce np. geodezyjnego europejskiego układu ETRS-89 albo udziału w Galileo nie trzeba poddawać się unijnej konstytucji.

Z kolei wielu młodych ludzi pociąga swoboda podróżowania, przenoszenia się, możliwości pracy zagranicą. Moje pokolenie rozumie to doskonale, gdyż przez lata żyliśmy w świecie skrzępowanym zakazami. Ale czy po likwidacji komuny do realizacji tych pragnień potrzebna jest Unia? Turystycznie najbardziej aktywnym narodem są Japończycy, zaś emigracja zarobkowa dotyczy przede wszystkim narodów biednych, a nie członków Unii. Poszukując pracy w innym kraju każdy musi akceptować trudności, a nawet poniżenia, jeżeli mu zależy

na wyższym standardzie życiowym. Jest to wybór, czy lepiej jest być biedniejszym, ale u siebie, czy bogatszym, ale emigrantem. I przynależność bądź nie do Unii nic tu nie zmieni.

Najwięksi entuzjaści, nie bawiąc się w przedstawianie argumentów, po prostu twierdzą, że tak trzeba i koniec. Tam w Unii jest światło, postęp i dobrobyt. Wg. Janusza Lewandowskiego Unia jest to dla nas „winda cywilizacyjna”. Czyż jednak nie mieliśmy już do czynienia z podobnym rozumowaniem wcześniej? Przecież polscy komuniści w Związku Radzieckim, podporządkowując się Stalinowi także uważali, że wypełniają misję dziejową, że odczytują znaki historii i że konieczne jest związanie Polski na zawsze z obozem postępu i sprawiedliwości. Wielu szczerze tak myślało. Co więcej, także targowiczanie twierdzili, że jedyna droga uporządkowania i ocalenia państwa to przyłączenie się do silnego i światłego władcy.

Innego rodzaju argument przytacza Bronisław Gieremek.. Powiada on, Polska była zawsze prowincją, leżała na uboczu światowego rozwoju. Zmieni się to, gdy stanie się członkiem Unii.

Przypomina to rosyjska anegdota. " Paryż eto od Moskwy daleko? No, budiet ze 3000 km. - Wot, kakaja głusz !"

Warszawa jest dla paryżan prowincją, ale także Paryż jest prowincją dla mieszkańców Waszyngtonu czy Nowego Jorku. Kraków jest prowincją dla Warszawy, a tam mieszka dwoje noblistów! Gieremek może przestanie się czuć prowincjuszem, gdy przeniesie się z Warszawy do Paryża lub do Brukseli i pewnie spodziewa się, że Unia mu to ułatwi. Lepiej by sobie przypominał, że w sierpniu 1980 stolicą Europy był Gdańsk i że on miał również w tym swój udział.

Spotykamy się również z twierdzeniem, choć może ciszej wypowiedianym, że Polacy sami nie potrafią się rządzić, gdyż ze swej natury są warchołami, piniaczami i leniami. Trzeba nimi zarządzać z zewnątrz. To twierdzenie nie jest niestety bezzasadne, a koronnym przytaczanym dowodem jest upadek państwa w XVIII wieku. Obecne burdy w Sejmie, a także fatalny stan wymiaru sprawiedliwości wydają się potwierdzać taką ocenę. Czy da się temu zaprzeczyć?

Można jednak zauważyć, że rozbiory Polski miały przyczyny znacznie bardziej złożone niż charakterologiczne wady Polaków. Polscy i inni historycy poświęcili temu dziesiątki analiz. Niewątpliwie jedną z przyczyn była kultywowana demokracja szlachecka, gdy naokoło panował absolutyzm. Nie rozgrzeszajmy się zbyt łatwo, ale też nie akceptujmy pomówienia o braku zdolności państwowych, gdyż były w naszych dziejach okresy wspaniałe. Obecne nasze słabości widziane na tle innych państw wydobywających się z komunizmu nie są tak straszne.

Dosyć przekonująco brzmi argument, że co to będzie, gdy wszyscy naokoło wejdą do Unii, a my nie. Jest to faktycznie perspektywa niezbyt miła, według wielu czeka nas wówczas Białoruś, a według księdza Pieronka nawet Władywostok.

Jakby nieprzyjemna to perspektywa była, trzeba pamiętać, że nie po raz pierwszy Polska wybrałaby drogę zupełnie różną od swoich sąsiadów i nie liczącą się z ich zdaniem. Czyż nie tak właśnie było w roku 1980 gdy pod sztandarem „Solidarności” buntowaliśmy się przeciw komunizmowi, wzbudzając zgrozę Europy? A wcześniejsze zrywy? A rok 1939? Wprawdzie zapłaciliśmy wtedy straszliwą cenę, ale czy dziś ktoś powie że trzeba było się poddać Hitlerowi lub Stalinowi? Tak więc sama odmienność decyzji, wyłamanie się z szeregu, nie stanowi jeszcze o jej niesłuszności.

Chyba najbardziej skutecznie wpływa na opinię każdego zdanie tej osoby, do której się ma zaufanie. Prawie nikt nie jest w stanie samodzielnie zbadać wszystkich przesłanek i zanalizować argumentów. Opieramy się więc na zdaniu ludzi, których cenimy, którym wierzymy. Jeżeli więc wypowiadają się postacie tej miary co Jan Paweł II, Jan Nowak Jeziorański, Władysław Bartoszewski, trudno tego nie przyjąć z najwyższą powagą. Niestety, tuż obok nich, a nawet przed nimi pojawiają się kreatury w rodzaju Nikolski, Jaskiernia, Wiatr lub Miller, o których wiadomo, że oddychają kłamstwem i nie mają innego celu jak własne korzyści. Trudno się więc oprzeć podejrzeniu, że ci wielcy szlachetni zostali jakoś oszukani przez tych drugich lub ich jakiś nieznanych mocodawców. W każdym razie, słuchanie zgodnie wypowiadających się tych dwóch - tak różnych - kategorii zwolenników Unii rodzi olbrzymią rozterkę i poczucie niepewności.

Ostatnia wypowiedź Ojca Świętego, triumfalistycznie nagłaśniana jako ostateczne zamknięcie dyskusji, opiera się przecież na argumentacji religijnej: chodzi o „danie świadectwa” czyli ewangelizację ateizującej się Europy. Nagłaśniają ją ci, dla których ewangelizacja ma znaczenie dokładnie zerowe.

Zajmijmy się teraz argumentami odmiennymi, które są rzadko artykułowane, ale tkwią głęboko w świadomości. Pierwszym jest problem nazwijmy to „niemiecki”. Z pewnością zjednoczenie nie budziłoby tylu obaw, gdyby szło o połączenie się z Francuzami, Anglikami, Szwedami, czy jakkolwiek inną nacją europejską. Ale niestety, najbliższym i najważniejszym partnerem przy zjednoczeniu z Europą będą dla nas Niemcy.

Tymczasem konfrontacja polsko - niemiecka nie jest tylko sprawą przeszłości. Trwa ona od ponad tysiąca lat i nie można oczekiwać, że nagle ustanie. Porównywanie stosunków polsko niemieckich do polsko francuskich i oczekiwanie, że się one podobnie ułożą jest albo ignorancją albo świadomym zakłamaniem. Ważą tu nie tylko miliony ofiar ostatniej wojny ale również setki lat naporu germańskiego i polskiego oporu. Waży również stan naszych ziem zachodnich, których nie mogliśmy w ciągu minionych 55 lat porządnie zagospodarować. Waży rozpowszechnione wśród Niemców mniemanie o własnej wyższości, którego ostatnie lata bynajmniej nie umniejszały. Histeria w prasie niemieckiej jaka się rozpętała przy okazji Iraku była najlepszym świadectwem pogardy do Polaków, skrywanej ale zawsze obecnej. Zachodzi pytanie, czy w tej nieustającej konfrontacji będziemy sprawniejsi jeśli będzie nas chronić odrębne i niezależne państwo, czy też możemy bez obaw dopuszczać do napływu kapitału, ludzi i techniki niemieckiej? Czy nie doprowadzi to do sytuacji, że będziemy jedynie podwładnymi? Pochodzę z Łodzi i doskonale pamiętam, że przed wojną mieszkało tam stosunkowo dużo ludności niemieckiej, ale byli to ludzie zamożni, właściciele sklepów, kamienic, fabryk. Robotnikami byli tylko Polacy. Czy możemy się godzić na odtworzenie takiej struktury społecznej?

Sprawą najważniejszą, która najgłębiej musi być rozważona, jest sprawa suwerenności, a nawet istnienia państwa polskiego. Nie trudno zauważyć, że Unia zmierza ku federalizmowi, ku utworzeniu mocarstwa europejskiego. Utopia imperium europejskiego, rozpoczęta Cesarstwem Rzymskim, z niechlubnym ostatnim wcieleniem w postaci III Rzeszy, powraca w szatach Unii Europejskiej. Uprawnienia państw członkowskich są ograniczane, organów unijnych rozszerzane. „Europejskość” odmieniana we wszystkich przypadkach staje się wyznaniem wiary, symbolem. Europejski patriotyzm ma zastąpić przestarzałe nacjonalizmy. Oprócz wspólnej polityki gospodarczej będziemy mieli wspólną politykę zagraniczną i obronną, wspólnego prezydenta i parlament. Widać wyraźnie, że przyjęcie traktatu akcesyjnego równa się wkroczeniu na równię pochyłą, z której odwrót będzie niemożliwy, chyba znów w drodze kolejnej wojny.

Jak to więc jest? Jeszcze żyją ludzie, którzy życie byli gotowi oddać za niepodległość Polski, a dziś my jej się wyzbywamy? Czy istnienie państwa polskiego straciło wartość? A więc wszystkie powstania, walka zbrojna, konspiracja, miliony poległych, wszystko nie miało sensu? Czy to ktoś wyjaśni?

Tymczasem za to, że mamy się wyzbyć tak drogich nam wartości, wymaga się od nas jeszcze ofiar i poświęcenia. Nikt już nie twierdzi, że korzyści ekonomiczne pojawią się szybko – może za kilka lat. Na razie trzeba zapłacić wyrzeczeniami. A więc to samo co było z socjalizmem – dobrobyt ma przyjść w trzecim pokoleniu.

Wydaje się, że nawet tak krótki i pobieżny przegląd argumentacji nie daje przewagi zwolennikom wstąpienia do Unii. Tymczasem metoda prania mózgów i psychologicznego nacisku jaką zastosowano wobec wątpiących jest taka, że błędą przy niej wyczyny komunistycznej propagandy, uprawianej w PRL-u od referendum *3 x tak* w 46 roku do popisów Jerzego Urbana w stanie wojennym. Hipokryzja polityków, kanonada medialna i manipulacje prawne praktycznie czynią fikcję z konstytucyjnego obywatelskiego prawa wyboru.

Janusz B. Zieliński